

Co za szczęście, że nie musiałem zapisywać kroniki moich nastrojów w czasie tych miesięcy od początku sezonu! Ileż głupot bym pewnie napisał. Jako kibic, wiele razy biadoliłem, często wątpiłem, a jeszcze częściej wspominałem z nostalgią Brunico, kiedy wszystko wydawało mi się tak piękne w odważnym projekcie, który miał pewnie prowadzić na szczyt.

To, co wydawało się pewne w lipcu, nieco mniej pewne było w sierpniu, kiedy na ołtarzu nowej wizji złożyliśmy marzenie o Lidze Europy. To nas zaniepokoiło, ale nie złamało. Zespół – mówiliśmy sobie – jest jeszcze niezdefiniowany i dalej czuje efekty eksperymentów, które tak nas cieszyły w czasie zgrupowania, kiedy rodząca się Roma była fascynującą maszyną, niewinną panną, której nie chcieliśmy jeszcze rzucać na żer konkurentom w poważnych zawodach. Zbyt delikatna wydawała nam się wtedy ta istota, której pierwszych uderzeń serca słuchaliśmy z zachwytem. Ciekawa hipoteza dla innych, dobra wróżba dla nas. Dumni byliśmy, że ci wszyscy trenerzy przyjeżdżali do Riscone, żeby z ciekawością oglądać to, jak Luis Enrique pielęgnuje nasze przyszłe szczęście.

Nawet sam Sacchi zaszczycił nas swoją obecnością. Na konferencji prasowej, uśmiechając się ostrożnie i gładząc po podbródku, Arrigo z narodowej kadry pozdrawiał naszego trenera słowami: „Witaj w piekle!” A piekło to, którego gorącą temperaturę dało się odczuć wstępnie już w eliminacjach do Pucharu, stawało się coraz upalniejsze od pierwszej ligowej kolejki, która tak naprawdę była druga. To odwołanie początku rozgrywek wielu z nas traktowało jak uśmiech losu, bo ocaliło nas od wyjazdu do Bolonii i dało nam nieco bardziej przystępny mecz u siebie z Cagliari. Ale to nic nie dało. Olimpico, już w połowie zgwałcone przez Bratysławę, zostało w pełni upokorzone przez Rossoblù.

Coś jednak z tego, co widzieliśmy, nam się podobało. A wiele z tego, co nam się nie podobało, , trafiliśmy zaakceptować w imię naszej wiary. I tutaj już widać było kluczowy aspekt nowej Romy: pragnienie – czasem przesadnie uparte – przepełnienia pasji naszego dopingu ładunkiem tolerancji i kredytem zaufania nigdy może nie przyznanego aż w takim stopniu żadnemu trenerowi wcześniej. Postawa, na którą prasa zareagowała tak entuzjastycznym chórem, że trudno było uciec podejrzeniu o ironię czy niezrozumienie.

Na pewno Luis Enrique ma charyzmę i zasłużył na kredyt zaufania, ale pozostaje pytanie o coś więcej. O pragnienie wyjścia z prostego marzenia, żeby sięgnąć po wizję, nie tak znowu abstrakcyjną, prawdziwej utopii. Marzyć może każdy, utopia to przywilej niewielu. Przywilej wizjonerów, ponieważ to oni potrafią wyjść poza granice znanego i znajomego świata. Tak jest w literaturze, w nauce, w sporcie. Po Cagliari, nastąpiło zero-zero z Interem. Nic wielkiego. Delikatny środek przeciwbólowy. Trzeba było naprawdę hartu ducha, żeby znieść deprymujący spektakl przeciw Sienie. To ma być gra w stylu Blaugrana? Hipnotyczne posiadanie piłki? Ugryzę się w język. Zatrzymam komentarz dla siebie.

W tym momencie niektórzy zaczynają już wypowiadać niepokojące słowa. „Gra sterylna”. Z Parmą łyk tlenu, z Atalantą pierwsza ładna Roma w sezonie. Upadki i wzloty. W derbach przegrywamy, ale to właśnie w derby pojawia się arcydzieło w wykonaniu Curva Sud. Lanie jest bolesne, nerwy poszargane, ale jednak mimo tego chcemy zauważyć, jak wielka jest wola walki w drugiej połowie, niezależnie od liczebnej przewagi rywali. To, nawet jeśli nam nie wystarcza, jednak nas pociesza. Czy coś takiego zdarzyłoby się wcześniej? Z jakimś innym trenerem na ławce? Z jakimś innym prezesem na trybunach? Z jakimiś innymi kibicami na stadionie?

Z Palermo zapowiedź odrodzenia. W Genui kolejna kpina. Potem Milan nas rozjeżdża. „Mądre głowy” zaczynają zmieniać slogan „Witaj w piekle” w „Idź do diabła”. Nie, tego nie akceptuję. My tego nie akceptujemy. I znów media zaskoczone będą próbą dojrzałości publiczności rzymskiej, która robi wszystko, by niezniszczalną miłość do żółto-czerwonych barw uczynić miłością do tej drużyny, często mglistej, którą widzi na boisku. W Novarze cieszymy się cudem naszego wspaniałego bramkarza i wgrywamy. Nieładnie, ale wygrywamy. Z Lecce jesteśmy świetni, ale z Lecce. W Udine kolejny wielki krok wstecz. Marzyciele zaczynają się wahać, prawdziwi utopiści trwają.

Z Fiorentina prawdziwa kalwaria. Mecz kończy się przepychanką między piłkarzami. Trzy stracone gole. Trzy. Może rekord. Wściekam się. Biadolę. Widzę, że jestem bardziej marzycielem niż utopistą. Rozglądam się wokół. Solidniejsze ode mnie dusze zauważają, że mecz trzeba przeanalizować obiektywnie. Że dopóki byliśmy w 11 przeciw 11, w pierwszym kwadransie, to my mieliśmy ten mecz w garści. I że także przeciw Milanowi w pierwszym kwadransie...

Cóż, to prawda. Ale kwadrans? To mało. Jeśli ja ograniczam się do myślenia o tym, to inni wprost o tym piszą. Pojawia się nastrój ultimatów. Tym bardziej, że zbliża się Juventus. Hiszpan, mówi plotka, gotowy jest odejść. Czytam to i się niepokoję. Ponieważ część mojej wiaty jest jeszcze nienaruszona. Z liderem wychodzimy od razu na prowadzenie. Reaguję ostro, ale my trzymamy gardę. W drugiej połowie walczymy jak równy z równym. I kończy się remisem. Potem rzut karny strzelony dobrze, ale obroniony lepiej. Kilka ataków nie na miejscu i pojawiają się dawne strachy. Kapitan mówi: „Odchodzę”. Wielkie poruszenie. Myślimy tylko o tym, ponownie się jednoczymy, manifestując bardziej niż zwykle naszą miłość do niego. A więc do Romy. A więc do projektu.

W Napoli jeszcze nie wielkość, ale czysta radość. Kapitan tym razem wyśmiewa sam siebie i swoje kapryśnie zamierzone wypowiedzi. Dedykuje wygraną trenerowi, obejmując funkcję lidera utopistów. Wielkość pojawia się w Bolonii. Nigdy nie widziałem drużyny tak zdominowanej jak nasi rywale. Przyznaje to także Di Vaio. Laziale w 100%. I dotąd doszliśmy. Ostatni do tej pory mecz, który miał być pierwszym tego sezonu. Przerwa w rozgrywkach mnie osobiście przeraża.

To be continued...

Autor: **GIUSEPPE MANFRIDI**

Tłumaczenie: kaisa

Autor: kaisa